

Serca za barykadą

Jest temat, który się Polsce rzadko i niechętnie porusza, temat w stosunku do którego istnieją tysiące uprzedzeń i podejrzeń, temat niezwykle bolesny i aktualny domagający się szybkiego i radykalnego rozwiązania. Mam na myśli sprawę, czy też kwestję ruską: Dla przeciętnego obywatela kwestja ta niemal nie istnieje, a w każdym razie - jest - czymś bardzo oddalonym i nie aktualnym - słyszał coś-niecoś o pacyfikacji Małopolski Wschodniej, ale nie przywiązywał do tego większej wagi, wie, że ukraińcy są wrogami narodu i państwa polskiego, przypomina sobie o nich to i owo z przeczytanej w dzieciństwie Trylogji, od czasu do czasu wpadnie mu coś w ucho o skargach wytaczanych przed Ligą Narodów i na tem koniec. Między społeczeństwem polskim a kilkoma milionami rusinów z Podola i Wołynia wzniosła się barykada niezrozumienia i niechęci, za którą biją nienawistne serca bratniego narodu. Przeważnie jesteśmy skłonni całkowitą odpowiedzialnością za ten stan obciążać sumienia Rusinów; przypominamy wówczas Chmielnickiego i hajdamaków, śmierć Potockiego i Undo, napady na urzędy i akcję podpalaczy, stwierdzamy po nieskończoność polskość Lwowa, śpiewamy o ziemi i kropli kiwi i traktujemy tych wszystkich Bondarczuków i Dmytruków jako zwyczajnych bandytów, których spotyka ciężka, lecz zasłużona kara. Ostatnio świeża mogiła Tadeusza Hołówki jeszcze bardziej zwiększyła naszą niechęć, wobec której niema możliwości zdobycia się na trzeźwą ocenę wypadków i zjawisk i która opóźnia chwilę zniesienia złowrogo spiętrzonej barykady. Musimy się jednak nareszcie zdobyć na ową ocenę, przeprowadzić dokładną rewizję dotychczasowego stosunku do kwestji ruskiej i podsumować jego bilans. I nic się na to nie poradzi, że bilans ten w dość znacznej części wypadnie dla nas ujemnie. Trzeba to przyjąć po męsku do wiadomości i wyciągnąć odpowiednie konsekwencje. Nie waham się z całą stanowczością stwierdzić, że za sytuację wytworzoną na kresach południowo-wschodnich gros odpowiedzialności ponosimy my sami - i to nietyle czynniki rządowe, co raczej samo społeczeństwo, bo i to musimy wziąć pod uwagę, że żadna akcja oficjalna nie odniesie w danym wypadku skutku, jeśli za nią nie będzie stał cały naród dłoń przyjaźni wyciągnięta przez reprezentantów rządu w kierunku ukraińców będzie tylko czczym gestem, jeśli dłoń w sposób otwarty i szczerzy nie przyłączy się całe społeczeństwo. Ludziom pewnego pokroju wydaje się to czemś niemożliwym i nieosiągalnym, a przecież nie tak dawne są czasy, w których ludność ruska nie odczuwała potrzeby odseparowania się od narodu polskiego i szczerze pragnęła zgodnego współżycia. Przecież bunty i powstania kozackie nie były nigdy skierowane przeciw Polakom w myśl jakichś urojonych antagonizmów narodowych, ale nosiły zupełnie wyraźny charakter społeczny, chwilami nawet, co się najchętniej przemilcza o religijnem zabarwieniu.

Przecież sam Chmielnicki, którego pamięć po dziś dzień przeklina ludowa pieśń ruska za to, że rzucił Ukrainę w objęcia moskiewskiego cara uważał się za Polaka i żadnej odrębności narodowej nie podkreślał. Umyślnie przypominam tamte czasy, bo w nich kryje się źródło wszystkich późniejszych nieporozumień. Nie kto inny, tylko magnat ukraiński z jezuitą i żydem-arendarzem wznieśli nienawiść polsko-ruską, która do dziś przetrwała w postaci najrozmaitszych organizacji konspiracyjnych. Ostatecznie, jeżeli hitlerji ukraińskiej udaje się podtrzymywać wrogi nastrój do Polski wśród młodzieży ruskiej, to do najważniejszych argumentów uczuciowych należą tu wspomnienia z owych lat, kiedy bezmyślność paniąt ukraińskich ożeniona z fanatyzmem księży zaczęła zwycięzać ideje Żółkiewskich i Konaszewiczów. Jesteśmy skłonni największą odpowiedzialność zrzucić na perfidję nieboszczki Austrii. Tak przecież nie jest. Perfidja perfidją, Metternich Metternichem, ale Jarema Wiśniowiecki to też nie bajka i nie mąż opatrnościowy z patriotycznej apologji Sienkiewicza, którą można się zachwycać, ale której przyjmować niepodobna.

Trudno, kochani rodacy. Coś się tam w przeszłości przeskrabalo, czegoś nieładnego niepodobna się wypierać, bo jest najoczywistszą prawdą.

Nie znaczy to, byśmy w porywie wielkoduszności mianowali Wasyla Wyszywanego królem ukraińskim, a pana Welykanowicza jego ministrem, ale skoro żyjemy w jednym podwórku z podejrzliwym i zadąsanym na nas, ale w gruncie rzeczy zupełnie przyzwoitym sąsiadem, to zróbmy, nareszcie coś, aby zyskać sobie, już jeżeli nie przyjaźń, to przynajmniej odrobinę szacunku i zgody. Tylko, że nam idzie to jak z kamienia. Wogóle nie znamy swoich sąsiadów. Nie chcemy ich poznać. Nie chcemy poinformować się o tem, co myślą, jak żyją, czego chcą i do czego dążą. Widzimy w nich hajdamaków i oczajduszów, rzezuinów i awanturników. I jeszcze jedno. Nie chcemy porozmawiać z nimi jak równi z równymi.

Jakże to! - Grunwald i Somosierra, Chrobry i Sobieski, Mickiewicz i Chopin, wielkie europejskie pretensje i ambicyjki, mocarstwo, panie dobrodzieju - i nagle byle ukrainiec, byle barbarzyńca, który tylko niedawno przestał łązić na czworakach.

To jest śmieszne, ale to jest także bardzo smutne.

Tkwi w tem jakaś tragiczna pomyłka, jakiś przeklęty paradoks, że naród od dwustu lat bity po pysku, ledwie wyleczył się z wczorajszych sińców i starł z czoła ślady pańskiego buta, już chce łapać inne narody za kark i powiewa sztandarem imperializmu i nacjonalistycznych pretensyj. Takie tendencje są bardzo silne, chociaż może przedwcześnie byłoby to uogólniać. Ale na dłuższą metę to się przecież nie opłaci. Mussolini i Hitler nie są wbrew optymizmowi naszego Adolfa Nowaczyńskiego bohaterami ani zbawicielami ludzkości.

Pijane narody rozbijające się nawzajem we mgle muszą kiedyś wytrzeźwieć. Niechże to stanie się prędzej. Bo historia gotowa dla otrzeźwienia urządzić jakiś komisariat, gdzie pobyt nie należy

chyba do przyjemności. Są zresztą znaki na niebie i ziemi, które dowodzą, że przewlekły katzenjammer już się kończy. Nie ostatnią rolę odgrywa tu literatura. Może też ona zdecyduje się pierwsza wypowiedzieć jasno i otwarcie w sprawie ruskiej. Byli kiedyś tacy pisarze, że wspomnę Zaleskiego, Jabłońskiego, Sowińskiego i Padurę. Nawiązać do ich przerwanej tradycji. Niech pacyfikację Małopolski przeprowadzi nie policjant i żandarm, nie pieść i bagnet, ale polski literat, polski artysta i polski uczony, którzy potrafią to uczynić w atmosferze wspólnej wymiany myśli i wspólnego zaufania.

Wyjść naprzeciw sercom z za barykad z otworzonymi naoścież ramiony, przygarnąć ich do Polski w jagiellońskim duchu odrodzonej wczuć się szczerze w ich troski i potrzeby, wesprzeć tych nielicznych jak Wasyl Stefanyk, Michał Jackow, czy Michał Rudnickij, którzy wśród zalewu szowinizmu ukraińskiego, tak pokrewnego naszej rodzimej owupie naprózno podnoszą głos zgody i pojednania.

Przypomnieć im ten uścisk braterski, jakim na dalekiej stacji ukraińskiej połączyły się ramiona Józefa Piłsudskiego i atamana Pelury błogosławioną wiosną 1920 go roku, a panom z Warszawy, Lwowa i Poznania podarować tom poszyj Tarasa Szewczenki, który w swoim czasie okrzyczany został za nienawistnika i szowinistę, a który osiemdziesiąt lat temu napisał te wielkie słowa: „o tak - to, Lasze, druże - bratie, niesytji ksiondzi, magnati nas poriznili, rozwieli, a mib i Dosi tak żyli. Podaj-że ruku kozakowi i siercie czystiee podaj! - i znowu imieniem Christowim mi onowim nasz tichij raj!”

Z temi słowy iść nam dziś na zdobycie barykady i niemi trafić do serc bijących poza nią nienawiścią i gniewem.